

Antoine
de Saint-Exupéry

Mały Książę



>> Mały Książę <<

Antoine de Saint - Exupery

Przepraszam wszystkie dzieci za poświęcenie tej książki dorosłemu. Mam ważne ku temu powody: ten dorosły jest moim najlepszym przyjacielem na świecie. Drugi powód: ten dorosły potrafi zrozumieć wszystko, nawet książki dla dzieci. Mam też trzeci powód: ten dorosły znajduje się we Francji, gdzie cierpi głód i chłód. I trzeba go pocieszyć. Jeśli te powody nie wystarczą - chętnie poświęcę tę książkę dziecku, jakim był kiedyś ten dorosły.

Wszyscy dorośli byli kiedyś dziećmi. Choć niewielu z nich o tym pamięta. Zmieniam, więc moją dedykację:

LEONOWI WERTH

gdy był małym chłopcem

Gdy miałem sześć lat, zobaczyłem pewnego razu wspaniały obrazek w książce opisującej puszcę dziewiczą. Książka nazywała się "Historie prawdziwe". Obrazek przedstawiał węża boa, połykającego drapieżne zwierzę. Oto kopia rysunku: W książce było napisane: "Wężę boa połykają w całości schwytane zwierzęta. Następnie nie mogą się ruszać i śpią przez sześć miesięcy, dopóki zdobycz nie zostanie strawiona".

Po obejrzeniu obrazka wiele myślałem o życiu dżungli. Pod wpływem tych myśli udało mi się przy pomocy kredki stworzyć mój pierwszy rysunek. Rysunek numer 1. Wyglądał on tak:

Pokazałem moje dzieło dorosłym i spytałem, czy ich przeraża.

- Dlaczego kapelusz miałby przerażać? - odpowiedzieli dorośli.

Mój obrazek nie przedstawiał kapelusza. To był wąż boa, który trawił słonia.

Narysowałem następnie przekrój węża, aby dorośli mogli zrozumieć. Im zawsze trzeba tłumaczyć. Mój rysunek numer 2 wyglądał następująco: Dorośli poradzili mi, abym porzucił rysowanie węży zamkniętych oraz otwartych i abym się raczej zajął geografią, historią, arytmetyką i gramatyką. W ten sposób, mając lat sześć, porzuciłem wspaniałą karierę malarską. Zraziłem się niepowodzeniem rysunku numer 1 i numer 2. Dorośli nigdy nie potrafią sami zrozumieć. A dzieci bardzo męczą konieczność stałego objaśniania. Musiałem wybrać sobie inny zawód: zostałem pilotem. Latałem po całym świecie i muszę przyznać, że znajomość geografii bardzo mi się przydała. Potrafiłem jednym rzutem oka odróżnić Chiny od Arizony. Ta wiedza oddaje duże usługi, szczególnie wówczas, gdy się błądzi nocą.

Zawód pilota dał mi okazję do licznych spotkań z wieloma poważnymi ludźmi. Wiele czasu spędziłem z dorosłymi. Obserwowałem ich z bliska. Lecz to nie zmieniło mej opinii o nich. Gdy spotykałem dorosłą osobę, która wydawała mi się trochę mądrzejsza, robiłem na niej doświadczenie z moim rysunkiem numer 1, który stale nosiłem przy sobie. Chciałem wiedzieć, czy mam do czynienia z osobą rzeczywiście pojętną. Lecz za każdym razem odpowiadano mi: - To jest kapelusz. - Wobec tego nie rozmawiałem ani o wężach boa, ani o lasach dziewiczych, ani o gwiazdach. Starłem się być na poziomie mego rozmówcy.

Rozmawiałem o brydżu, golfie, polityce i krawatach. A dorosły był zadowolony, że poznał

tak rozsądnego człowieka.

II

W ten sposób, nie znajdując z nikim wspólnego języka, prowadziłem samotne życie aż do momentu przymusowego lądowania na Saharze. Było to sześć lat temu. Coś się zepsuło w motorze. Ponieważ nie towarzyszył mi ani mechanik, ani pasażerowie, musiałem sam zabrać się do bardzo trudnej naprawy. Była to dla mnie kwestia życia lub śmierci. Miałem zapas wody zaledwie na osiem dni.

Pierwszego wieczoru zasnąłem na piasku, o tysiąc mil od terenów zamieszkałych.

Byłem bardziej osamotniony, niż rozbitek na tratwie pośrodku oceanu. Toteż proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy o świcie obudził mnie czyjś głosik. Posłyszałem:

- Proszę cię, narysuj mi baranka.

- Co takiego?

- Narysuj mi baranka.

Zerwałem się na równe nogi. Przetarłem dobrze oczy. Natężyłem wzrok. I zobaczyłem niezwykle małego człowieka, który bacznie mi się przyglądał. Oto jego najlepszy portret, który udało mi się zrobić później:

Oczywiście nie jest on na tym rysunku tak czarujący jak w rzeczywistości. To nie moja wina. Gdy miałem sześć lat, dorośli zniechęcili mnie do malarstwa i dlatego umiem rysować tylko węże boa zamknięte i otwarte.

Patrzyłem na to zjawisko oczyma okrągłymi ze zdziwienia. Nie zapominajcie, że znajdowałem się o tysiąc mil od terenów zamieszkałych.

Tymczasem człowieczek nie wyglądał ani na zabląkanego, ani na ginącego ze zmęczenia, ani na umierającego z pragnienia czy głodu, ani na przestraszonego. W niczym nie przypominał dziecka zgubionego w środku pustyni, o tysiąc mil od miejsc zamieszkałych.

Gdy wreszcie odzyskałem mowę, odezwałem się:

- Ale... cóż ty tutaj robisz?

A on powtórzył bardzo powoli, jak gdyby chodziło o niezwykle ważną sprawę:

- Proszę cię, narysuj mi baranka ...

Zawsze ulega się urokowi tajemnicy. Pomimo niedorzeczności sytuacji - byłem bowiem o tysiąc mil od terenów zamieszkałych i grozi mi niebezpieczeństwo śmierci - wyciągnąłem z kieszeni kartkę papieru i wieczne pióro. W tym momencie przypomniałem sobie, że przecież uczyłem się tylko geografii, historii, rachunków i gramatyki, więc zmartwiony powiedziałem chłopcu, że nie umiem rysować. Ale on odrzekł:

- To nic nie szkodzi. Narysuj mi baranka.

Ponieważ nigdy w życiu nie rysowałem baranka, pokazałem mu jeden z dwóch rysunków, jakie umiałem zrobić: rysunek węża boa zamkniętego. Ku memu zdziwieniu chłopczyk odpowiedział:

- Nie, nie. Nie chcę słonia połkniętego przez węża boa. Boa jest zbyt niebezpieczny, a słoń za duży. Mam za mało miejsca. Potrzebny mi jest baranek. Narysuj mi baranka.

Narysowałem baranka. Mały przyjrzał się uważnie i rzekł:

- Nie, ten baranek jest już bardzo chory. Zrób innego.

Narysowałem.

Mały przyjaciel uśmiechnął się grzecznie z pobłażaniem:

- Przyjrzyj się. To nie jest baranek, to baran. On ma rogi.

Zrobiłem nowy rysunek, ale został odrzucony tak jak poprzedni:

- Ten baranek jest za stary. Chcę mieć baranka, który będzie długo żył.

Tracąc już cierpliwość - chciałem bowiem jak najprędzej zabrać się do naprawy motoru

- nabazgrałem ten obrazek i powiedziałem:

- To jest skrzynka. Baranek, którego chciałeś mieć, jest w środku.

Byłem bardzo zdziwiony, widząc radość na buzi małego krytyka.

- To jest właśnie to, czego chciałem. Czy myślisz, że trzeba dużo trawy dla tego baranka?

- Dlaczego pytasz?

- Bo mam tak mało miejsca ...

- Na pewno wystarczy. Dałem ci zupełnie małego baranka.

Pochylił główkę nad rysunkiem.

- Nie taki znowu mały. Zobacz, zasnął ...

Tak wyglądał początek mojej znajomości z Małym Księciem.

III

Dużo czasu upłynęło, zanim zrozumiałem, skąd przybył. Mały Książę, choć sam zadawał mi wiele pytań udawał, że moich nie słyszy dopiero z wypowiedzianych przypadkowo słów poznałem jego historię. Kiedy po raz pierwszy ujrzał mój samolot (nie narysuję mego samolotu, ponieważ jest to rysunek zbyt trudny), zapytał:

- Co to za przedmiot?

- To nie jest przedmiot. To lata. To samolot. To mój samolot.

Byłem bardzo dumny, mogąc mu powiedzieć, latam. Wtedy zapytał:

- Jak to? Spadłeś z nieba?

- Tak - odparłem skromnie.

- Ach, to zabawne...

I Mały Książę wybuchnął śmiechem, który mnie rozgniewał. Wolałbym, aby poważniej traktowano moje nieszczęście. Po chwili powiedział:

- A więc ty też spadłeś z nieba? Z jakiej planety pochodzisz?

W tym momencie rozjaśnił mi się nieco mrok otaczający jego zjawienie się i spytałem natychmiast:

- Więc ty przybyłeś z innej planety?

Ale on nie odpowiadał. Schylił głowę i uważnie przyglądał się memu samolotowi.

- To prawda. Przy pomocy czegoś takiego nie mogłeś przybyć z daleka.

I pogрузyl się w rozmyślaniach. Następnie wyjął z kieszeni baranka i zaczął uważnie przyglądać się swemu skarbowi.

Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo byłem zaintrygowany tym zagadkowym zwierzeniem o innych planetach. Starłem się zatem dowiedzieć czegoś więcej.

- Skąd przybyłeś, mój mały? Gdzie jest twój dom? Dokąd chcesz zabrać baranka?

Po chwili pełnej skupienia powiedział:

- Dobrą stroną tej skrzynki, którą mi dałeś, jest to, że będzie w nocy jego domkiem.

- Naturalnie. Jeżeli będziesz grzeczny, dam ci jeszcze linkę i palik, abys mógł go w dzień przywiązywać.

Ta propozycja uraziła Małego Księcia.

- Przywiązywać? Też pomysł!

- Jeżeli go nie przywiążesz, to pójdzie gdziekolwiek i zginie.

Mój mały przyjaciel znowu się roześmiał.

- A gdzież on ma iść?

- Gdziekolwiek, prosto przed siebie.

Wtedy Mały Książę powiedział z powagą:

- To nie ma znaczenia. Ja mam tak mało miejsca.

Następnie dorzucił z odrobiną - jak mi się wydawało - smutku:

- Idąc prosto przed siebie nie można zajść daleko ...

IV

W ten sposób dowiedziałem się drugiej ważnej rzeczy: że planeta, z której pochodził, niewiele była większa od zwykłego domu. Ta wiadomość nie zdziwiła mnie. Wiedziałem dobrze, że oprócz dużych planet, takich jak Ziemia, Jowisz, Mars, Wenus, którym nadano imiona, są setki innych, tak małych, że z wielkim trudem można je zobaczyć przy pomocy teleskopu. Kiedy astronom odkrywa którąś z nich, daje jej zamiast imienia numer. Nazywa ją na przykład gwiazdą 3251.

Miałem pewne podstawy, aby sądzić, że planeta, z której przybył Mały Książę, jest gwiazdą B-612. Ta gwiazda była widziana raz tylko, w 1909 roku, przez tureckiego astronoma, który swoje odkrycie ogłosił na Międzynarodowym Kongresie Astronomów. Nikt jednak nie chciał mu uwierzyć, ponieważ miał bardzo dziwne ubranie. Tacy bowiem są dorośli ludzie.

Na szczęście dla planety B-612 turecki dyktator kazał pod karą śmierci zmienić swojemu ludowi ubiór na europejski. Astronom ogłosił po raz wtóry swoje odkrycie w roku 1920 - i tym razem był ubrany w elegancki frak. Cały świat mu uwierzył.

Opowiedziałem wam te szczegóły o planecie B-612 i podałem numer ze względu na dorosłych. Dorośli są zakochani w cyfrach. Jeżeli opowiadacie im o nowym przyjacielu, nigdy nie pytają o rzeczy najważniejsze. Nigdy nie usłyszycie: "Jaki jest dźwięk jego głosu?"

W co lubi się bawić? Czy zbiera motyle?"

Oni pytają was: "Ile ma lat? Ilu ma braci? Ile waży? Ile zarabia jego ojciec?" Wówczas dopiero sądzą, że coś wiedzą o waszym przyjacielu.

Jeżeli mówicie dorosłym: "Widziałem piękny dom z czerwonej cegły, z geranium w oknach i gołębiami na dachu" - nie potrafią sobie wyobrazić tego domu. Trzeba im powiedzieć: "Widziałem dom za sto tysięcy złotych". Wtedy krzykną: "Jaki to piękny dom!"

Jeżeli powiecie dorosłym: "Dowodem istnienia Małego Księcia jest to, że był śliczny, że śmiał się i że chciał mieć baranka, a jeżeli chce się mieć baranka, to dowód, że się istnieje" -

wówczas wzruszą ramionami i potraktują was jak dzieci. Lecz jeżeli im powiecie, że przybył

z planety B-612, uwierzą i nie będą zadawać niemądrych pytań. Oni są właśnie tacy. Nie można od nich za dużo wymagać. Dzieci muszą być bardzo pobłażliwe w stosunku do dorosłych.

My jednak, którzy dobrze rozumiemy życie, kpimy sobie z cyfr. Chciałbym zacząć tę historię, jak zaczyna się baśń. Wolałbym powiedzieć: "Był pewnego razu Mały Książę, który mieszkał na planecie troszeczkę większej od niego i który bardzo chciał mieć przyjaciela ..."

Dla tych, którzy znają życie, wyglądałoby to o wiele prawdziwiej.

Byłoby mi przykro, gdyby moją książkę traktowano niepoważnie. Z wielkim bólem opowiadam te wspomnienia. Sześć lat minęło już od chwili, kiedy mój przyjaciel odszedł ze swoim barankiem.

Próbuję opisać go po to, aby nie zapomnieć. To bardzo przykre zapomnieć przyjaciela. A przecież nie każdy dorosły ma przyjaciela. I mógłbym stać się podobny do dorosłych, którzy interesują się tylko cyframi. Dlatego też kupiłem sobie pudełko z farbami i ołówki. Bardzo trudno zabrać się do rysowania w moim wieku, tym bardziej, że jedyne próby w tym kierunku, to były rysunki węża boa zamkniętego i otwartego, rysunki, które robiłem mając sześć lat. Postaram się jednak, aby portrety były jak najwierniejsze. Sam nie jestem pewien, czy mi się to uda. Jeden rysunek jest dobry, drugi gorszy. Myli mi się trochę wzrost Małego Księcia. Tutaj jest za duży, tam znów za mały. Waham się, malując kolory jego stroju. Błądzą w ciemnościach wspomnień i w rezultacie myślę się w rzeczach bardzo zasadniczych. Ale trzeba mi to wybaczyć. Mój przyjaciel nigdy mi nic nie objaśniał. Uważał pewnie, że jestem podobny do niego. Ja jednak nie potrafię, niestety, widzieć baranka przez ściany skrzynki. Możliwe więc, że jestem trochę podobny do dorosłych. Już się prawdopodobnie zestarzałem.

V

Codziennie dowiadywałem się czegoś nowego o planecie, o wyjeździe, o podróży.

Wiadomości te gromadziły się z wolna i przypadkowo. I tak trzeciego dnia poznałem dramat baobabów.

W tym przypadku stało się to dzięki barankowi. Mały Księżę spytał mnie nagle, jakby w coś zwątpił:

- Czy to prawda, że baranki zjadają krzaki?

- Tak, to prawda.

- O, to bardzo się z tego cieszę.

- Nie rozumiałem, jakie znaczenie może mieć wiadomość, że baranki zjadają krzaki. Ale Mały Księżę dodał:

- Wobec tego one jedzą także baobaby?

Wytłumaczyłem mu, że baobaby nie są krzakami, lecz drzewami, i to tak dużymi jak kościoły, i gdyby nawet zabrał ze sobą całe stado słońi, to nie dałyby one rady jednemu baobabowi.

Na myśl o stadzie słońi Mały Księżę roześmiał się:

- Trzeba byłoby poustawiać jednego na drugim.

Później dodał z namysłem:

- Ale nim baobaby staną się drzewami, są małe.

- To prawda. Ale dlaczego chcesz, żeby baranki zjadały małe baobaby?

Odpowiedział mi: - Dobrze, dobrze... - jakby chodziło o rzecz najzupełniej oczywistą.

Musiałem zrobić duży wysiłek, aby zrozumieć to bez niczyjej pomocy. Okazało się, że na planecie Małego Księcia, tak jak na wszystkich planetach, rosły rośliny pożyteczne oraz zielska. W rezultacie znajdowały się tam dobre nasiona roślin pożytecznych i złe nasiona zielsk. Ale ziarna są niewidoczne. Śpią sobie skrycie w ziemi aż do chwili, kiedy któremuś z nich przyjdzie ochota obudzić się. Wypuszcza wtedy cudowny, bezbronny pęd, który najpierw nieśmiało wyciąga się ku słońcu. Jeżeli jest to pęd rzodkiewki albo róży, można mu pozwolić rosnąć, jak chce. Ale jeżeli jest to zielsko, trzeba wyrwać je jak najszybciej, gdy tylko się je rozpozna. Otóż na planecie Małego Księcia były ziarna straszliwe. Zirna baobabu.

Zakażony był nimi cały grunt. A kiedy baobab wyrośnie, to na wyrwanie jest za późno i nigdy już nie można się go pozbyć. Zajmie całą planetę. Przeorze ją korzeniami. A jeżeli planeta jest mała, a baobabów jest dużo, to one ją rozsadzają.

- Jest to kwestia dyscypliny - powiedział mi później Mały Książę. - Rano, po umyciu się, trzeba robić bardzo dokładną toaletę planety. Trzeba się zmusić do regularnego wrywania baobabów, i to natychmiast po odróżnieniu ich od krzewów róży, do których są w młodości bardzo podobne. Jest to praca bardzo nudna, lecz bardzo łatwa ...

Pewnego dnia poradził mi, abym spróbował narysować ładny obrazek, który by pomógł dzieciom z naszej planety zrozumieć niebezpieczeństwo baobabów.

<<http://republika.pl/oskarm/jpg/503a.jpg>>- Gdyby kiedyś podróżowały - mówił mi - może im się przydać. Czasem odłożenie pracy na później nie przynosi szkody. Lecz w wypadku baobabu jest to zawsze katastrofą. Znałem planetę, którą zamieszkiwał leniuch. Zlekceważył

trzy pędy ...

Według wskazówek Małego Księcia narysowałem tę planetę. Nie lubię prawić morałów.

Lecz niebezpieczeństwo baobabów jest tak mało znane, a ryzyko, na jakie narażają się ci, którzy zabłądzą na jedną z małych planet, jest tak poważne, że tym razem odstąpię od mych zasad. I mówię: dzieci, uważajcie na baobaby!

Wiele pracy kosztował mnie ten rysunek, który zrobiłem po to, aby ostrzec mych przyjaciół przed niebezpieczeństwem od dawna grożącym, a nieznanym. Mój trud jednakże opłacił się. Może zapytacie, dlaczego w tej książce nie ma innych równie wspaniałych rysunków jak rysunek baobabów? Odpowiedź jest prosta: próbowałem je zrobić, lecz mi się nie udały. Gdy malowałem baobaby, kierowała mną jakaś wewnętrzna konieczność.

VI

Powoli zrozumiałem, Mały Książę, twoje smutne życie. Od dawna jedyną rozrywką był

dla ciebie urok zachodów słońca. Ten nowy szczegół twego życia poznałem czwartego dnia rano, gdyś mi powiedział:

- Bardzo lubię zachody słońca. Chodźmy zobaczyć zachód słońca.

- Ale trzeba poczekać.

- Poczekać na co? - Poczekać, aż słońce zacznie zachodzić.

Początkowo zrobiłeś

zdziwioną minę, a później roześmiałeś się i rzekłeś: - Ciągle mi się wydaje, że jestem u siebie.

Rzeczywiście, wszyscy wiedzą, że kiedy w Stanach Zjednoczonych jest godzina dwunasta, we Francji słońce zachodzi. Gdyby można się było w ciągu minuty przenieść ze Stanów do Francji, oglądałoby się zachód słońca. Niestety, Francja jest daleko. Ale na twojej planecie mogłeś przesunąć krzeselko o parę kroków i oglądać zachód słońca tyle razy, ile chciałeś ... - Pewnego dnia oglądałem zachód słońca czterdzieści trzy razy - powiedział Mały Książę, a w chwilę później dodał:

- Wiesz, gdy jest bardzo smutno, to kocha się zachody słońca.

- Więc wówczas gdy oglądałeś je czterdzieści trzy razy, byłeś aż tak bardzo smutny? -

zapytałem.

Ale Mały Książę nie odpowiedział.

VII

Piątego dnia, znowu dzięki barankowi, odkryłem nową tajemnicę Małego Księcia.

Gwałtownie, bez żadnego wstępu, zapytał mnie, jak gdyby po długim zastanawianiu się w samotności:

- Jeżeli baranek zjada krzaki, to je także kwiaty?

- Baranek je wszystko, co napotka.

- Nawet kwiaty, które mają kolce?

- Tak, nawet kwiaty, które mają kolce.

- A więc do czego służą kolce?

Nie wiedziałem. Byłem w tym momencie zajęty luzowaniem zbyt ściągniętego sworznia mego motoru. Niepokoiłem się bardzo, ponieważ zacząłem rozumieć, że uszkodzenie jest poważne, a woda do picia kończy się. Myślałem o najgorszym.

- Do czego służą kolce?

Mały Książę nigdy nie reygnował z postawionego raz pytania. Byłem zdenerwowany stanem mojej maszyny i odpowiedziałem byle co:

- Kolce nie służą do niczego. To tylko złośliwość kwiatów.

Mały Książę westchnął, a po chwili milczenia powiedział urażony:

- Nie wierzę ci. Kwiaty są słabe, są naiwne. One zabezpieczają się, jak mogą. Im się wydaje, że z kolcami są bardzo groźne.

Nie odpowiedziałem. Mówiłem sobie w tej chwili: "Jeżeli ten sworzeń nie puści, wybiję go młotkiem". Mały Książę przerwał moje myśli

- I ty sądzisz, że kwiaty...

- Ale nie, nic nie sędzę. Odpowiedziałem byle co. Zajmuję się poważnymi sprawami.

Popatrzył na mnie zdumiony.

- Poważnymi sprawami?

Widział mnie stojącego z młotkiem w ręku, z palcami czarnymi od smaru, schylonego nad przedmiotem, który wydawał mu się bardzo brzydki.

- Mówisz jak dorośli.

Zawstydzilem się. Ale on dodał bezlitośnie:

- Nie rozumiesz nic. Mieszasz wszystko.

Był naprawdę bardzo rozgniewany. Potrząsał złotymi lokami, rozsypującymi się na wietrze.

- Znam planetę, na której mieszka pan o czerwonej twarzy. On nigdy nie wachał kwiatów.

Nigdy nie patrzył na gwiazdy. Nigdy nikogo nie kochał. Niczego w życiu nie robił poza rachunkami. I cały dzień powtarza tak jak ty: "Jestem człowiekiem poważnym, jestem człowiekiem poważnym". Nadyma się dumą. Ale to nie jest człowiek, to jest grzyb.

- Co?

- Grzyb!

Mały Książę był blady ze złości.

- Od milionów lat kwiaty mają kolce. Mimo to od milionów lat baranki jedzą kwiaty. A czy nie wydaje ci się godne wyjaśnienia, dlaczego kwiaty zadają sobie tyle trudu dla wytworzenia kolców, które nie służą do niczego? Czy wojna między kwiatami a barankami nie jest rzeczą poważną? Czy to nie jest ważniejsze niż rachunki grubego, czerwonego pana? Jeżeli ja znam jedyny kwiat, który nigdzie poza moją planetą nie istnieje, i jeżeli mały baranek może go któregoś ranka zniszczyć za jednym zamachem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, czyż nie ma to żadnego znaczenia?

Poczerwieniał. Po chwili mówił dalej;

- Jeśli ktoś kocha kwiat, który jest jedyny na milionach i milionach planet, temu wystarczy do szczęścia patrzeć na gwiazdy i mówi sobie: "Gdzieś tam jest mój kwiat.. Lecz jeśli baranek zje kwiat, to tak jakby wszystkie gwiazdy zgasły. I to nie jest ważne?"

Nie mógł mówić dłużej. Wybuchnął płaczem. Noc zapadła. Porzuciłem moje narzędzia.

Kpiłem sobie z młotka, ze sworznia, z wody i ze śmierci. Na jednej gwiazdzie, na planecie, na mojej Ziemi był Mały Książę, którego musiałem pocieszyć. Wziółem go na ręce i ukołysałem. Powiedziałem:

- Kwiatowi, który kochasz, nie grozi niebezpieczeństwo. Narysuję ci kaganiec dla twego baranka, narysuję osłonę dla twego kwiatu... Ja...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję się nieswojo. Nie wiedziałem, jak do niego przemówić, czym go pocieszyć. Świat łez jest taki tajemniczy.

VIII

Wkótce poznałem lepiej ten kwiat. Na planecie Małego Księcia kwiaty były zawsze bardzo skromne, o pojedynczej koronie płatków, nie zajmujące miejsca i nie przeszkadzające nikomu. Pojawiały się któregoś ranka wśród traw i więdły wieczorem. Krzak róży wykiełkował w ciągu dnia z ziarna przyniesionego nie wiadomo skąd i Mały Książę z uwagą śledził ten pęd, zupełnie niepodobny do innych pędów. Mógł to być nowy gatunek baobabu.

Lecz krzak szybko przestał rosnać i zaczął się formować kwiat. Mały Książę, który śledził

pojawienie olbrzymiego pąka, wyczuwał, iż wykwitnie z niego jakieś cudowne zjawisko, lecz róża schowana w swoim zielonym domku przygotowywała się powoli. Starannie dobierała barw. Ubierała się wolno, dopasowywała płatki jeden do drugiego. Nie chciała rozkwitnąć pognieciona jak maki. Pragnęła zjawić się w pełnym blasku swojej piękności. O, tak! Była wielką zalotnicą. Jej tajemnicze strojenie trwało wiele dni. Aż pewnego poranka - dokładnie o wschodzie słońca - ukazała się.

I oto ona - która tyle trudu włożyła w swój staranny wygląd- powiedziała ziewając:

- Ach, dopiero się obudziłam... Przepraszam bardzo... Jestem jeszcze nie uczesana.

Mały Książę nie mógł powstrzymać słów z zachwyty:

- Jakaż pani jest piękna!

- Prawda odpowiedziała róża cichutko.

- Urodziłam się równocześnie ze słońcem.

Mały Książę domyślił się, że róża nie jest zbyt skromna, lecz jakżeż była wzruszająca!

- Sądzę, że czas na śniadanie - dorzuciła po chwili - czy byłby pan łaskaw pomyśleć o mnie?

Mały Książę, bardzo zawstydzony, poszedł po konewkę i podał jej świerżą wodę.

Wkrótce swą trochę płochliwą próżnością zaczęła go torturować. Pewnego dnia na przykład, mówiąc o swych czterech kolcach, powiedziała:

- Mogą zjawić się tygrysy uzbrojone w pazury...

- Nie ma tygrysów na mojej planecie - sprzeciwił się Mały Książę - a poza tym tygrysy nie jedzą trawy.

- Nie jestem trawą - odparła słodko róża.

- Proszę mi wybaczyć...

- Nie obawiam się tygrysów, natomiast czuję wstręt do przeciągów. Czy nie ma pan parawanu?

"Wstręt do przeciągów to nie jest dobre dla rośliny - pomyślał Mały Książę. - Ten kwiat jest bardzo skomplikowany."

- Wieczorem proszę mnie przykryć kloszem. U pana jest bardzo zimno. Złe są tu urządzenia.

Tam, skąd przybyłam...

Urwała. Przybyła w postaci nasienia. Nie mogła znać innych planet. Naiwne kłamstwo, na którym dała się przyłapać zawstydziło ją. Zakaszła dwa lub trzy razy, aby pokryć zażenowanie.

- A ten parawan?

- Ja bym przyniósł, ale pani mówiła...

Wtedy róża znów zaczęła kaszleć, aby Mały Książę miał wyrzuty sumienia. W ten sposób mimo dobrej woli płynącej z jego uczucia Mały Książę przestał wierzyć róży. Wziął

poważnie słowa bez znaczenia i stał się bardzo nieszczęśliwy.

- Nie powinienem jej słuchać - zwierzył mi się któregoś dnia - nigdy nie trzeba słuchać kwiatów. Trzeba je oglądać i wąchać. Mój kwiat napełniał całą planetę swoją wonią, lecz nie umiałem się nim cieszyć. Historia kolców, która tak mnie rozdrażniła, powinna rozczulić...

Zwierzył się jeszcze:

- Nie potrafiłem jej zrozumieć. Powinienem sądzić ją według czynów, a nie słów. Czarowała mnie pięknem i zapachem. Nie powinienem nigdy od niej uciec. Powinienem odnaleźć w niej czułość pod pokrywką małych przebiegłostek. Kwiaty mają w sobie tyle sprzeczności. Lecz byłem za młody, aby umieć ją kochać.

IX

Sądzę, że dla swej ucieczki Mały Książę wykorzystał odlot wędrownych ptaków. Rano przed odjazdem uporządkował dokładnie planetę. Pieczołowicie przeczyścił wszystkie wulkany. Miał dwa czynne wulkany. To się bardzo przydaje do podgrzewania śniadań. Miał

też jeden wulkan wygasły. Ponieważ powtarzał zwykle: - Nic nigdy nie wiadomo - więc przeczyścił także wygasły wulkan. Jeśli wulkany są dobrze przeczyszczone, palą się powoli i równo, bez wybuchów. Wybuchy wulkanów są tym, czym zapalenie sadzy w kominie.

Oczywiście my, na naszej Ziemi, jesteśmy za mali, aby przeczyszczać wulkany. Dlatego też sprawiają nam tyle przykrości. Mały Książę z odrobiną smutku wyrwał także ostatnie pędy baobabów. Nie wierzył w swój powrót. Wszystkie te codzienne prace wydawały mu się tego ranka szczególnie miłe. Kiedy po raz ostatni podlał różę i już miał ją przykryć kloszem, poczuł, że chce mu się płakać.

- Do widzenia - powiedział róży.

Lecz ona nie odpowiadała.

- Do widzenia - powtórzył.

Róża zakaszła. Lecz nie z powodu kataru.

- Byłam niemądra - powiedziała mu. - Przepraszam cię. Spróbuj być szczęśliwy.

Zdziwił się brakiem wymówek. Stał, całkowicie zbity z tropu, trzymając klosz w powietrzu. Nie rozumiał tej spokojnej słodyczy.

- Ależ tak, ja cię kocham - mówiła róża. - Nie wiedziałeś o tym z mojej winy. To nie ma żadnego znaczenia. Ale ty byłeś równie niemądry jak ja. Spróbuj być szczęśliwy. Pozostaw spokojnie tę planetę. Nie chcę ciebie więcej.

- Ależ... przeciągi...

- Nie jestem już tak bardzo zakatarzona. Chłodne powietrze nocy dobrze mi robi. Jestem kwiatem..

- Ale dzikie bestie...

- Muszę poznać dwie lub trzy gąsienice, jeśli chcę zawrzeć znajomość z motylem. To podobno takie rozkoszne. Bo któż by mnie oitem odwiedzał, gdy będziesz daleko... A jeśli chodzi o dzikie bestie, nie boję się nikogo. Mam kolce. - I naiwnie pokazała cztery kolce. Po chwili dorzuciła: - Nie zwlekaj, to tak drażni. Zdecydowałeś się odjechać. Idź już!

Nie chciała, aby widział, że płacze. Była przecież tak dumna.

X

Planeta Małego Księcia krążyła w okolicy planetek 325, 326, 327, 328, 329, 330. Zaczął więc od zwiedzania tych planet, aby znaleźć sobie zajęcie i czegoś się nauczyć.

Pierwszą zamieszkiwał Król. Ubrany w purpurę i gronostaje, siedział na tronie bardzo skromy, lecz majestatyczny.

- Oto poddany! - krzyknął Król, gdy zobaczył Małego Księcia.

Mały Książę spytał:

- Widzisz mnie przecież po raz pierwszy, w jaki więc sposób mogłeś mnie rozpoznać?

Nie wiedział, że dla królów świat jest bardzo prosty. Wszyscy ludzie są poddanymi.

- Zbliź się, abym cię widział lepiej - powiedział Król, bardzo dumny, że nareszcie może nad kims panować.

Mały Książę poszukał wzrokiem miejsca, gdzie by mógł usiąść, lecz cała planeta zajęta była przez wspaniałe płaszcze gronostajowy. Stał więc nadal, a ponieważ był zmęczony podróżą, ziewnął.

- Etykieta nie zezwala na ziewanie w obecności króla - rzekł monarcha. - Zakazuję ci ziewać.

- Nie mogę się powstrzymać - odpowiedział Mały Książę bardzo zawstydzony. - Odbyłem długą podróż i nie spałem.

- Wobec tego rozkazuję ci ziewać. Od lat nie widziałem ziewających. Zaciekawia mnie ziewanie. No! Ziewaj jeszcze! To jest rozkaz.

- To mnie onieśmiela... nie mogę więcej - powiedział czerwieniąc się Mały Książę.

- Hm, hm! - odrzekł Król. - Wobec tego... rozkazuję ci to ziewać, to... - Bełkotał chwilę i wydawał się podrażniony. Królowi bardzo zależało, aby jego autorytet był szanowany. Nie znosił nieposłuszeństwa. Był to monarcha absolutny. Ponieważ jednak był bardzo dobry, dawał rozkazy rozsądne. - Jeśli rozkażę - zwykł mówić - jeśli rozkażę generałowi, aby zmienił się w morskiego ptaka, a generał nie wykona tego, to nie będzie wina generała. To będzie moja wina.

- Czy mogę usiąść? - spytał skromnie Mały Książę.

- Rozkazuję ci siaść - powiedział Król, podciągając majestatycznie jedną połą gronostajowego płaszcza.

Mały Książę był zdziwiony. Planeta była maleńka. Nad kim Król mógł panować?

- Najjaśniejszy panie - powiedział - proszę mi wybaczyć moje pytania...

- Rozkazuję ci pytać - pospiesznie powiedział Król.

- Najjaśniejszy panie, kim najjaśniejszy pan rządzi?

- Wszystkim - z wielką prostotą odpowiedział Król.

- Wszystkim?

Król dyskretnym ruchem wskazał swoją planetę, inne planety i gwiazdy.

- Tym wszystkim? - spytał Mały Książę.

- Tym wszystkim - odpowiedział Król, ponieważ był to monarcha nie tylko absolutny, ale i uniwersalny.

- I gwiazdy najjaśniejszego pana słuchają?

- Oczywiście - odrzekł Król. - Słuchają natychmiast. Nie znoszę nieposłuszeństwa.

Mały Książę zachwycił się taką władzą. Gdyby on ją posiadał, mógłby widzieć jednego dnia nie czterdzieści trzy, ale siedemdziesiąt dwa, nawet sto, nawet dwieście zachodów słońca bez przesuwania krzeselka. A ponieważ był trochę smutny z powodu swej małej opuszczonej planety, ośmielił się prosić Króla o łaskę:

- Chciałbym zobaczyć zachód słońca. Proszę mi zrobić przyjemność. Proszę rozkazać słońcu, aby zaszło...

- Jeśli rozkażę generałowi, aby jak motyl przeleciał z jednego kwiatka na drugi, albo rozkażę mu napisać tragedię, albo zmienić się w morskiego ptaka, a generał nie wykona otrzymanego rozkazu, kto z nas nie będzie miał racji: ja czy on?

- Jego Królewska Mość - odpowiedział stanowczo Mały Książę.

- Słusznie. Należy wymagać tego, co można otrzymać. Autorytet opiera się na rozsądku. Jeśli rozkażesz twemu ludowi rzucić się do morza, lud się zbuntuje. Ja mam prawo żądać posłuszeństwa, ponieważ moje rozkazy są rozsądne.

- Więc jak jest z moim zachodem słońca? - przypomniał Mały Książę, który nigdy nie porzucił postawionego pytania.

- Będziesz miał twój zachód słońca. Zarządzę go. Lecz zaczekam, w mądrości rządzenia, aż warunki będą przychylne.

- Kiedy to będzie? - informował się Mały Książę.

- Hm, hm! - zamruczał Król, badając gruby kalendarz. - Hm, hm, to będzie około... około... to będzie dziś wieczorem o godzinie 19.40. I zobaczysz, jaki mam posłuch.

Mały Książę ziewnął. Żałował straconego zachodu słońca, a poza tym już się trochę nudził.

- Nie mam tu nic do roboty. Odejdę.

- Nie odchódź - odpowiedział Król, który był tak dumny z posiadania poddanego. - Nie odchódź, mianuję cię ministrem.

- Ministrem czego?

- Hm... sprawiedliwości!

- Ależ tu nie ma kogo sądzić!

- Nie wiadomo - rzekł Król. - Jeszcze nie zwiedziłem mego królestwa. Jestem bardzo stary, nie mam miejsca na karocę, a chodzenie mnie męczy.

- Och! Ale ja już widziałem - powiedział Mały Książę, wychylając się, aby rzucić okiem na drugą stronę planety. - Tam także nie ma nikoga...

- Wobec tego będziesz sam siebie sądzić. To najtrudniejsze. Znacznie trudniej jest sądzić siebie niż bliźniego. Jeśli potrafisz dobrze siebie osądzić, będziesz naprawdę mądry.

- Ja - powiedział Mały Książę - mogę się sądzić byle gdzie. Nie ma potrzeby, abym mieszkał tutaj.

- Hm, hm. Zdaje mi się, że gdzieś na mojej planecie jest stary szczur. Słyszę go nocą.

Będziesz mógł od czasu do czasu sądzić tego starego szczura. Będziesz go mógł skazywać na śmierć. W ten sposób życie jego będzie zależne od twojej sprawiedliwości. Lecz za każdym razem ułaskawisz go, aby go oszczędzić. Bowiem jest tylko jeden.

- Nie lubię skazywać na śmierć - odpowiedział Mały Książę - i już odchodzę.

- Nie - rzekł Król.

Mały Książę, który skończył już przygotowania do podróży, nie chciał martwić starego monarchy.

- Jeżeli Wasza Królewska Mość chce, aby rozkazy były wykonywane natychmiast, proszę mi dać rozsądny rozkaz. Niech mi na przykład Wasza Królewska Mość rozkaże odejść stąd przed upływem jednej minuty. Zdaje mi się, że okoliczności są sprzyjające...

Ponieważ Król nie odpowiedział, Mały Książę po chwili wahania wyruszył w drogę, wzdychając z ulgą.

- Mianuję cię moim ambasadorem! - wykrzyknął jeszcze Król. Był bardzo pewny siebie.

"Dorośli są bardzo dziwni! - mówił sobie Mały Książę.

X

Planeta Małego Księcia krążyła w okolicy planetek 325, 326, 327, 328, 329, 330. Zaczął więc od zwiedzania tych planet, aby znaleźć sobie zajęcie i czegoś się nauczyć.

Pierwszą zamieszkiwał Król. Ubrany w purpurę i gronostaje, siedział na tronie bardzo skromy, lecz majestatyczny.

- Oto poddany! - krzyknął Król, gdy zobaczył Małego Księcia.

Mały Książę spytał:

- Widzisz mnie przecież po raz pierwszy, w jaki więc sposób mogłeś mnie rozpoznać?

Nie wiedział, że dla królów świat jest bardzo prosty. Wszyscy ludzie są poddanymi.

- Zbliź się, abym cię widział lepiej - powiedział Król, bardzo dumny, że nareszcie może nad kims panować.

Mały Książę poszukał wzrokiem miejsca, gdzie by mógł usiąść, lecz cała planeta zajęta była przez wspaniałe płaszcze gronostajowy. Stał więc nadal, a ponieważ był zmęczony podróżą, ziewnął.

- Etykieta nie zezwala na ziewanie w obecności króla - rzekł monarcha. - Zakazuję ci ziewać.

- Nie mogę się powstrzymać - odpowiedział Mały Książę bardzo zawstydzony. - Odbyłem długą podróż i nie spałem.

- Wobec tego rozkazuję ci ziewać. Od lat nie widziałem ziewających. Zaciekawia mnie ziewanie. No! Ziewaj jeszcze! To jest rozkaz.

- To mnie onieśmiela... nie mogę więcej - powiedział czerwieniąc się Mały Książę.

- Hm, hm! - odrzekł Król. - Wobec tego... rozkazuję ci to ziewać, to... - Bełkotał chwilę i wydawał się podrażniony. Królowi bardzo zależało, aby jego autorytet był szanowany. Nie znosił nieposłuszeństwa. Był to monarcha absolutny. Ponieważ jednak był bardzo dobry, dawał rozkazy rozsądne. - Jeśli rozkażę - zwykł mówić - jeśli rozkażę generałowi, aby zmienił się w morskiego ptaka, a generał nie wykona tego, to nie będzie wina generała. To będzie moja wina.

- Czy mogę usiąść? - spytał skromnie Mały Książę.

- Rozkazuję ci siaść - powiedział Król, podciągając majestatycznie jedną połą gronostajowego płaszcza.

Mały Książę był zdziwiony. Planeta była maleńka. Nad kim Król mógł panować?

- Najjaśniejszy panie - powiedział - proszę mi wybaczyć moje pytania...

- Rozkazuję ci pytać - pospiesznie powiedział Król.

- Najjaśniejszy panie, kim najjaśniejszy pan rządzi?

- Wszystkim - z wielką prostotą odpowiedział Król.

- Wszystkim?

Król dyskretnym ruchem wskazał swoją planetę, inne planety i gwiazdy.

- Tym wszystkim? - spytał Mały Książę.

- Tym wszystkim - odpowiedział Król, ponieważ był to monarcha nie tylko absolutny, ale i uniwersalny.

- I gwiazdy najjaśniejszego pana słuchają?

- Oczywiście - odrzekł Król. - Słuchają natychmiast. Nie znoszę nieposłuszeństwa.

Mały Książę zachwycił się taką władzą. Gdyby on ją posiadał, mógłby widzieć jednego dnia nie czterdzieści trzy, ale siedemdziesiąt dwa, nawet sto, nawet dwieście zachodów słońca bez przesuwania krzeselka. A ponieważ był trochę smutny z powodu swej małej opuszczonej planety, ośmielił się prosić Króla o łaskę:

- Chciałbym zobaczyć zachód słońca. Proszę mi zrobić przyjemność. Proszę rozkazać słońcu, aby zaszło...

- Jeśli rozkażę generałowi, aby jak motyl przeleciał z jednego kwiatka na drugi, albo rozkażę mu napisać tragedię, albo zmienić się w morskiego ptaka, a generał nie wykona otrzymanego rozkazu, kto z nas nie będzie miał racji: ja czy on?

- Jego Królewska Mość - odpowiedział stanowczo Mały Książę.

- Słusznie. Należy wymagać tego, co można otrzymać. Autorytet opiera się na rozsądku. Jeśli rozkażesz twemu ludowi rzucić się do morza, lud się zbuntuje. Ja mam prawo żądać posłuszeństwa, ponieważ moje rozkazy są rozsądne.

- Więc jak jest z moim zachodem słońca? - przypomniał Mały Książę, który nigdy nie porzucił postawionego pytania.

- Będiesz miał twój zachód słońca. Zarządzę go. Lecz zaczekam, w mądrości rządu, aż warunki będą przychylne.

- Kiedy to będzie? - informował się Mały Książę.

- Hm, hm! - zamruczał Król, badając gruby kalendarz. - Hm, hm, to będzie około... około... to będzie dziś wieczorem o godzinie 19.40. I zobaczysz, jaki mam posłuch.

Mały Książę ziewnął. Żałował straconego zachodu słońca, a poza tym już się trochę nudził.

- Nie mam tu nic do roboty. Odejdę.

- Nie odchódź - odpowiedział Król, który był tak dumny z posiadania poddanego. - Nie odchódź, mianuję cię ministrem.

- Ministrem czego?

- Hm... sprawiedliwości!

- Ależ tu nie ma kogo sądzić!

- Nie wiadomo - rzekł Król. - Jeszcze nie zwiedziłem mego królestwa. Jestem bardzo stary, nie mam miejsca na karocę, a chodzenie mnie męczy.

- Och! Ale ja już widziałem - powiedział Mały Książę, wychylając się, aby rzucić okiem na drugą stronę planety. - Tam także nie ma nikoga...

- Wobec tego będziesz sam siebie sądzić. To najtrudniejsze. Znacznie trudniej jest sądzić siebie niż bliźniego. Jeśli potrafisz dobrze siebie osądzić, będziesz naprawdę mądry.

- Ja - powiedział Mały Książę - mogę się sądzić byle gdzie. Nie ma potrzeby, abym mieszkał tutaj.

- Hm, hm. Zdaje mi się, że gdzieś na mojej planecie jest stary szczur. Słyszę go nocą.

Będziesz mógł od czasu do czasu sądzić tego starego szczura. Będziesz go mógł skazywać na śmierć. W ten sposób życie jego będzie zależne od twojej sprawiedliwości. Lecz za każdym razem ułaskawisz go, aby go oszczędzić. Bowiem jest tylko jeden.

- Nie lubię skazywać na śmierć - odpowiedział Mały Książę - i już odchodzę.

- Nie - rzekł Król.

Mały Książę, który skończył już przygotowania do podróży, nie chciał martwić starego monarchy.

- Jeżeli Wasza Królewska Mość chce, aby rozkazy były wykonywane natychmiast, proszę mi dać rozsądny rozkaz. Niech mi na przykład Wasza Królewska Mość rozkaże odejść stąd przed upływem jednej minuty. Zdaje mi się, że okoliczności są sprzyjające...

Ponieważ Król nie odpowiedział, Mały Książę po chwili wahania wyruszył w drogę, wzdychając z ulgą.

- Mianuję cię moim ambasadorem! - wykrzyknął jeszcze Król. Był bardzo pewny siebie.

"Dorośli są bardzo dziwni! - mówił sobie Mały Książę.

XI

Drugą planetę zamieszkiwał Próżny.

- Ach! Ach! Oto odwiedziny wielbiciela! - krzyknął, gdy tylko zauważył Małego Księcia.

Albowiem według próżnych każdy spotkany człowiek jest ich wielbicielem.

- Dzień dobry - powiedział Mały Książę. - Pan ma zabawny kapelusz.

- Po to, aby się kłaniać - odpowiedział Próżny. - Aby się kłaniać, gdy mnie oklaskują.

Niestety nikt tędy nie przejeżdża.

- Ach tak? - powiedział Mały Książę, nic nie rozumiejąc.

- Uderzaj dłonią w dłoń - poradził Próżny.

Mały Książę uderzył dłonią w dłoń. Próżny uklonił się skromnie, uchylając kapelusza.

"To jest jednak bardziej zajmujące niż odwiedziny u Króla" - powiedział sobie Mały Książę. I znów zaczął klaskać. Próżny znów kłaniał się, uchylając kapelusza. Po pięciu minutach zabawy Mały Książę zmęczył się jednostajnością gry.

- A co trzeba zrobić - spytał - aby kapelusz spadł?

Lecz próżny nie usłyszał. Próżni słyszą tylko pochwały.

- Czy ty mnie naprawdę bardzo uwielbiasz? - spytał Małego Księcia.

- Co to znaczy uwielbiać?

- Uwielbiać to znaczy uznać mnie za człowieka najpiękniejszego, najlepiej ubranego, najbogatszego i najmądrzejszego na planecie.

- Ależ poza tobą nikogo na planecie nie ma!

- Zrób mi tę przyjemność: uwielbiaj mnie mimo wszystko.

- Uwielbiam cię - powiedział Mały Książę, lekko wzruszając ramionami - ale co ci to daje?

I ruszył w dalszą drogę. "Dorośli są zdecydowanie śmieszni" - powiedział sobie podczas podróży.

XII

Następną planetę zajmował Pijak. Te odwiedziny trwały bardzo krótko, pograżyły jednak Małego Księcia w głębokim smutku.

- Co ty tu robisz? - spytał Pijaka, którego zastał siedzącego w milczeniu przed baterią butelek pełnych i bateria butelek pustych.

- Piję - odpowiedział ponuro Pijak.

- Dlaczego pijesz? - spytał Mały Książę.

- Aby zapomnieć - odpowiedział Pijak.

- O czym zapomnieć? - zaniepokoił się Mały Książę, który już zaczął mu współczuć.

- Aby zapomnieć, że się wstydzę - stwierdził Pijak, schylając głowę.

- Czego się wstydzisz? - dopytywał się Mały Książę, chcąc mu pomóc.

- Wstydzę się, że piję - zakończył Pijak rozmowę i pograżył się w milczeniu.

Mały Książę zakłopotany ruszył dalej.

"Dorośli są naprawdę bardzo, bardzo śmieszni" - mówił sobie po drodze.

XIII

Czwarta planeta należała do Bankiera, który w chwili przybycia Małego Księcia tak był zajęty, że nawet nie podniósł głowy.

- Dzień dobry - powiedział Mały Książę. - Pański papieros zgasł.

- Trzy plus dwa równa się pięć. Pięć plus siedem - dwanaście. Dwanaście i trzy - piętnaście.

Dzień dobry. Piętnaście i siedem - dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa i sześć - dwadzieścia osiem. Nie mam czasu zapalić. Dwadzieścia sześć i pięć - trzydzieści jeden. Och! To razem daje pięćset jeden milionów sześćset dwadzieścia dwa tysiące siedemset trzydzieści jeden.

- Pięćset jeden milionów czego?

- Co? Jeszcze tu jesteś? Pięćset jeden milionów... Sam już nie wiem, czego... Tak ciężko pracowałem! Jestem człowiekiem poważnym, tak, nie robię niedorzeczności, nie bawię się głupstwami. Dwa i pięć...

- Pięćset jeden milionów czego? - powtórzył Mały Książę, który nigdy nie porzucał raz postawionego pytania.

Bankier podniósł głowę.

- Przez pięćdziesiąt cztery lata, odkąd mieszkam na tej planecie, trzy razy zakłócono mi spokój. Pierwszy raz, przed dwudziestu dwoma laty, zjawił się nie wiadomo skąd chrabąszcz.

Tak strasznie hałasował, że zrobiłem cztery błędy w dodawaniu. Drugi raz, jedenaście lat temu, miałem atak reumatyzmu. Nie uprawiałem gimnastyki. Nie mam czasu na włóczęgę.

Jestem człowiekiem poważnym. Tak. Trzeci raz... to w tej chwili. Powiedziałem więc: pięćset jeden milionów...

- Milionów czego?

Bankier zrozumiał, że niełatwo będzie pozbyć się gościa.

- Milionów tych małych rzeczy, które się widzi na niebie.

- Muszek?

- Ależ nie, małych, błyszczących rzeczy.

- Pszczółek?

- Ależ nie. Małych złotych błyskotek, o których marzą leniuchy. Lecz ja jestem człowiekiem

poważnym. Tak. Nie mam czasu na marzenia.

- Aha... Gwiazd?

- Tak jest. Gwiazd.

- I cóż ty robisz z pięciuset milionami gwiazd?

- Pięćset jeden milionów sześćset dwadzieścia dwa tysiące siedemset trzydzieści jeden...

jestem poważny, jestem dokładny.

- I cóż ty robisz z tymi gwiazdami?

- Co ja z nimi robię?

- Tak.

- Nic. Posiadam je.

- Posiadasz gwiazdy?

- Tak.

- Już widziałem Króla, który...

- Królowie nie posiadają. Oni panują. To zupełnie co innego.

- A co ci daje posiadanie gwiazd?

- Bogactwo.

- A cóż ci z tego, że jesteś bogaty?

- Mogę kupować inne gwiazdy, o ile ktoś je znajdzie.

"Ten człowiek - powiedział sobie Mały Książę - rozumuje jak mój Pijak."

Pomimo tego pytał dalej:

- W jaki sposób można posiadać gwiazdy?

- A czyż one są? - odburknął Bankier.

- Nie wiem. Niczyje.

- Wobec tego są moje, ponieważ pierwszy o tym pomyślałem.

- Czy to wystarcza?

- Oczywiście. Jeśli znajdziesz diament, który jest niczyj, należy on do ciebie. Jeśli odkryjesz wyspę, która nie należy do nikogo, jest twoja. Jeśli zrobisz wynalazek i opatentujesz go, jest twój. Ja mam gwiazdy, ponieważ nikt przede mną nie pomyślał o tym, żeby je zagarnąć.

- To prawda - rzekł Mały Książę. - A co robisz z nimi?

- Zarządzam. Liczę je i przeliczam - powiedział Bankier. - To bardzo trudne. Lecz jestem człowiekiem poważnym.

Mały Książę nie był jeszcze zadowolony.

- Jeśli mam szal, to mogę owinać nim szyję i zabrać go ze sobą. Jeśli mam kwiat, mogę go zerwać i zabrać ze sobą. A ty nie możesz zrywać gwiazd.

- Nie, lecz mogę je umieścić w banku.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że ilość mych gwiazd zapisuję na kawałku papieru. Następnie zamykam ten papier na klucz w szufladzie.

- I to wszystko?

- To wystarczy.

"To zabawne - pomyślał Mały Książę. - To poetyczne. Ale to nie jest zbyt poważne."

Mały Książę miał zupełnie inne pojęcie o rzeczach poważnych, niż mają dorośli.

- Ja - dorzucił jeszcze - posiadam kwiat, który podlewam codziennie. Posiadam trzy wulkany, które przeczyszczam co tydzień. Przeczyszczam także wulkan wygasły. Nigdy nic nie wiadomo. Jestem pożyteczny dla wulkanów, które posiadam, dla kwiatu, który jest mój. A jaką korzyść mają z ciebie gwiazdy?

Bankier otworzył usta, lecz nie znalazł odpowiedzi, więc Mały Książę ruszył w dalszą drogę.

"Dorośli są jednak nadzwyczajni" - powiedział sobie po prostu podczas dalszej podróży.

XIV

Piąta planeta była bardzo interesująca. Była najmniejsza ze wszystkich. Była tak mała, że załedwie starczyło na niej miejsca na lampę uliczną i Latarnika.

Mały Książę nie umiał sobie wytłumaczyć, do czego może służyć uliczna latarnia i Latarnik gdzieś we wszechświecie, na małej planetce pozbawionej domów i ludności. Jednak powiedział sobie:

"Możliwe, iż ten człowiek jest niedorzeczny. Ale on jest mniej niedorzeczny niż Król, Próżny, Bankier i Pijak. Jego praca jest przynajmniej pożyteczna. Gdy zapala lampę, to tak jakby stwarzał jeszcze jedną nową gwiazdę lub kwiat. Gdy gasi lampę, to tak jakby usypiał

gwiazdę lub kwiat. To bardzo ładne zajęcie. To rzeczywiście jest pożyteczne, ponieważ jest ładne."

Natychmiast po wylądowaniu Mały Książę ukłonił się z szacunkiem Latarnikowi.

- Dzień dobry. Dlaczego przed chwilą zgasiłeś swą lampę?

- Taki rozkaz - odpowiedział Latarnik. - Dzień dobry.

- Coż to znaczy rozkaz?

- Rozkaz gaszenia lampy. Dobry wieczór.

Zapalił lampę.

- Dlaczego zapaliłeś?

- Taki jest rozkaz - odpowiedział Latarnik.

- Nie rozumiem - rzekł Mały Książę.

- Nic tu nie ma do rozumienia. Rozkaz jest rozkazem. Dzień dobry.

Zgasił lampę. Następnie otarł sobie czoło chustką w czerwoną kratę.

- Mam straszną pracę. Kiedyś miała ona sens. Gasilem latarnię rano, a zapalałem wieczorem.

W dzień mogłem odpoczywać, a w nocy spałem...

- A czy teraz zmienił się rozkaz?

- Rozkaz się nie zmienił. Na tym polega tragizm sytuacji. Z roku na rok planeta obraca się szybciej, a rozkaz się nie zmienia.

- Więc? - spytał Mały Książę.

- Więc dzisiaj, gdy planeta robi obrót w ciągu minuty, nie mam chwili odpoczynku. W ciągu każdej minuty muszę zapalić latarnię i zgasić ją!

- U ciebie dzień trwa jedną minutę! Jakie to zabawne!

- To wcale nie jest zabawne - powiedział Latarnik. - Już minął miesiąc, odkąd rozmawiamy.

- Miesiąc?

- Tak. Trzydzieści minut - trzydzieści dni. Dobranoc.

Zapalił lampę.

Mały Książę przyjrzał się Latarnikowi i poczuł sympatię dla tego człowieka, który tak wiernie wypełniał rozkaz. Przypomnił sobie zachody słońca na własnej planecie, kiedy podziwiał je wciąż na nowo, przesuając tylko krzeselko. Chciał pomóc swemu przyjacielowi.

- Czy wiesz... Znam sposób, dzięki któremu mógłbyś w dowolnej chwili odpocząć.

- Zawsze chciałby odpoczywać - odrzekł Latarnik.

Bowiem można być jednocześnie obowiązkowym i leniwym.

- Twoja planeta jest tak mała, że trzema krokami możesz ją okrążyć. Wystarczy, abyś szedł

powoli i stale był w świetle słońca. Gdy zechcesz odpocząć, będziesz szedł przed siebie i dzień będzie trwał tak długo, jak długo zechcesz.

- Niewiele mi to da - powiedział Latarnik - najbardziej lubię spać.

- Szkoda - powiedział Mały Książę.

- Szkoda - powiedział Latarnik. - Dzień dobry.

I zgasił lampę.

Podczas dalszej podróży Mały Książę powiedział sobie:

"Tym człowiekiem pogardzaliby wszyscy, i Król, i Próżny, i Pijak, i Bankier. Mimo to on jeden nie wydaje mi się śmieszny. A to prawdopodobnie dlatego, że nie zajmuje się tylko sobą."

Westchnął z żalu i mówił sobie jeszcze:

"Tylko ten człowiek mógłby być moim przyjacielem. Lecz jego planeta jest rzeczywiście za mała. Nie ma miejsca dla dwóch..."

Mały Książę nie chciał się przyznać, że tym, co najbardziej pociągało go w tej błogosławionej planecie, było przede wszystkim tysiąc czterysta czterdzieści zachodów słońca w ciągu dwudziestu

czterech godzin.

XV

Szósta planeta była dziesięć razy większa. Mieszkał na niej Starszy Pan, który pisał olbrzymie księgi.

- Proszę! Oto badacz! - wykrzyknął, ujrawszy Małego Księcia.

Mały Książę usiadł za stołem, lekko dysząc. Bardzo długo już podróżował.

- Skąd przybywasz? - zagadnął go Starszy Pan.

- Co to za gruba księga? - spytał Mały Książę. - Co pan tu robi?

- Jestem geografem - odpowiedział Starszy Pan.

- Co to znaczy geograf?

- Jest to uczone, który wie, gdzie znajdują się morza, rzeki, miasta, góry i pustynie.

- To bardzo ciekawe - powiedział Mały Książę. - Nareszcie odkryłem pożyteczne zajęcie!

I rozejrzał się po planecie geografa. Nigdy jeszcze nie widział tak wspaniałej planety.

- Pańska planeta jest bardzo ładna. Czy są na niej oceany?

- Nie mogę tego wiedzieć - odpowiedział geograf.

- Ach... - Mały Książę był rozczarowany. - A góry?

- Nie mogę tego wiedzieć - powiedział geograf.

- A miasta, rzeki, pustynie?

- Tego też nie mogę wiedzieć - odparł geograf.

- Ależ pan jest geografem?!

- To prawda - rzekł geograf - lecz nie jestem badaczem. Bardzo brak mi badaczy. Zadanie geografa nie polega na liczeniu miast, rzek, gór, oceanów i pustyni. Geograf jest zbyt ważną osobistością, aby mógł pozwolić sobie na łażikowanie. On nie opuszcza swego biura, lecz przyjmuje badaczy, wypytuje i notuje ich spostrzeżenia. A gdy uwagi kogoś uzna za interesujące, wtedy każe robić wywiad o moralności danego badacza.

- Po co?

- Ponieważ kłamliwy badacz wywołałby katastrofy w księgach geografii. A także badacz, który zbyt

dużo pije.

- A dlaczego? - pytał Mały Książę.

- Ponieważ pijany widzi podwójnie, więc geograf zanotowałby dwie góry w miejscu, gdzie jest tylko jedna.

- Znam kogoś - rzekł Mały Książę - kto byłby bardzo złym badaczem.

- To bardzo możliwe. Kiedy więc moralność badacza wydaje się zadowolająca, sprawdza się prawdziwość jego odkrycia.

- Sprawdza się na miejscu?

- Nie. To zbyt skomplikowane. Żąda się od badacza dowodów. Gdy na przykład chodzi o odkrycie wielkiej góry, żąda się, a by dostarczył wielkich kamieni.

Nagle geograf ożywił się:

- Ależ ty przybywasz z daleka! Jesteś badaczem! Opisz mi twoją planetę!

Geograf otworzył księgę i zaostrzył ołówek. Raport badacza zapisuje się najpierw ołówkiem, a po dostarczeniu dowodów prawdziwości odkrycia - przepisuje się piórem.

- Więc? - zapytał geograf.

- Och, u mnie wcale nie jest ciekawie - odpowiedział Mały Książę. - Planeta jest bardzo mała.

Mam trzy wulkany. Dwa czynne i jeden wygasły. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Nigdy nic nie wiadomo - powtórzył geograf.

- Mam też kwiat.

- Kwiaty nas nie interesują.

- A dlaczego? To najładniejsze z istniejących rzeczy!

- Ponieważ kwiaty są efemeryczne.

- Co znaczy "efemeryczne"?

- Księgi geografii są księgami najbardziej cennymi ze wszystkich ksiąg. Nigdy nie tracą aktualności. Bardzo rzadko zdarza się, aby góra zmieniła miejsce. Bardzo rzadko zdarza się, aby ocean wysechł. My opisujemy rzeczy wieczne.

- Lecz wygasły wulkan może się obudzić - przerwał Mały Książę. - Co to znaczy

"efemeryczny"?

- Dla nas jest obojętne, czy wulkan jest czynny, czy wygasły - rzekł geograf. - Nam chodzi o górę, a góra się nie zmienia.

- Co znaczy "efemeryczny"? - powtórzył Mały Książę, który nigdy w życiu nie porzucił raz postawionego pytania.

- Znaczy to "zagrożony bliskim unicestwieniem"/

- Mojej róży grozi bliskie unicestwienie?

- Oczywiście.

"Moja róża jest efemeryczna - powiedział do siebie Mały Książę - i ma tylko cztery kolce dla obrony przed niebezpieczeństwem. A ja zostawiłem ją zupełnie samą..."

To był jego pierwszy odruch żalu. Mimo to zapytał odważnie:

- Co radzi mi pan zwiedzić?

- Planetę Ziemię - odpowiedział geograf. - Ma dobrą sławę.

Mały Książę ruszył w dalszą drogę, myśląc o swojej róży.

XVI

Siódmą planetą była Ziemia. Ziemia nie jest była jaką planetą. Liczy sobie stu jedenastu królów (nie pomijając oczywiście królów murzyńskich), siedem tysięcy geografów, dziewięćset tysięcy bankierów, siedem i pół miliona pijaków, trzysta jednaście milionów próżnych - krótko mówiąc: około dwóch miliardów dorosłych. Aby łatwiej wam było pojąć, jak wielka jest Ziemia, powiem wam, że przed wynalezieniem elektryczności trzeba było zatrudniać na wszystkich sześciu kontynentach całą armię latarników, złożoną z czterystu sześćdziesięciu dwóch tysięcy pięciuset jedenastu osób. To był wspaniały widok - gdy się patrzyło z pewnej odległości. Ruchy tej armii były podobne do baletu. Pierwsi zaczynali pracę latarnicy Nowej Zelandii i Australii, którzy potem szli spać. Następnie do tańca wstępowali latarnicy Chin i Syberii. I oni po pewnym czasie kryli się za kulisami. Wtedy przychodziła kolej na latarników Rosji i Indii. Potem Afryki i Europy. Potem Ameryki Południowej.

Następnie Ameryki Północnej. I nigdy nie pomyłono porządku wchodzenia na scenę. To było wspaniałe.

Tylko latarnik jedynej lampy na Biegunie Północnym i jego kolega latarnik jedynej lampy na Biegunie Południowym prowadzili niedbałe i próżniacze życie: pracowali dwa razy w roku.

XVII

Zdarza się czasem, że chcąc być dowcipnym, popełniamy małe kłamstwa. Nie byłem bardzo uczciwy, gdy opowiadałem wam o latarnikach. Obawiam się, że ci, którzy nie znają naszej planety, będą mieli o niej fałszywe zdanie. Ludzie zajmują na Ziemi bardzo mało miejsca. Gdyby dwa miliardy mieszkańców Ziemi stanęło razem - jeden przy drugim, jak na wiecu - to zmieściliby się z łatwością na publicznym placu o dwudziestu milach długości i dwudziestu milach szerokości. Można by więc całą ludzkość stłoczyć na maleńkiej wysepce Oceanu Spokojnego.

Oczywiście dorośli wam nie uwierzą. Oni wyobrażają sobie, że zajmują dużo miejsca.

Wydaje się im, że są tak wielcy jak baobaby. Więc poradźcie im, aby zrobili obliczenia.

Kochają się w cyfrach: to im się spodoba. Lecz my nie traćmy czasu na ćwiczenie, które zadaje się za karę. To jest zbyteczne. Wy mi wierzycie.

Po przybyciu ba Ziemię Mały Książę był bardzo zdziwiony, nie widząc żywej duszy.

Przestraszył się, myśląc, że zablądził, gdy wten żółtawy pierścień poruszył się na piasku.

- Dobry wieczór - rzekł Mały Książę na wszelki wypadek.

- Dobry wieczór - powiedziała żmija.

- Na jaką planetę spadłem? - spytał Mały Książę.

- Na Ziemię, do Afryki.

- Ach... więc Ziemia nie jest zaludniona?

- Jesteśmy na pustyni. Na pustyni nikogo nie ma. Ziemia jest wielka - odrzekła żmija.

Mały Książę usiadł na kamieniu i wznosił oczy ku niebu.

- Zadaję sobie pytanie - powiedział - czy gwiazdy świecą po to, aby każdy mógł znaleźć swoją?... Popatrz na moją planetę. Jest dokładnie na nami. Ale jak bardzo daleko!

- Jest piękna - odrzekła żmija. - Po co tu przybyłeś?

- Mam pewne trudności z różą - powiedział Mały Książę.

- Ach tak... - rzekła żmija.

I oboje umilkli.

- Gdzie są ludzie? - zaczął znowu Mały Książę. - Czuję się trochę osamotniony w pustyni...

- Wśród ludzi jest się także samotnym - rzekła żmija.

Mały Książę przyglądał jej się przez dłuższy czas.

- Jesteś zabawnym stworzeniem - rzekł wreszcie - cienka jak palec...

- Ach, jestem znacznie potężniejsza niż palec króla - powiedziała żmija.

Mały Książę uśmiechnął się:

- Nie jesteś zbyt potężna... Nie masz nawet łapek... nawet nie możesz podróżować...

- Mogę cię unieść dalej niż okręt - rzekła żmija i owinęła się wokół kostki Małego Księcia na podobieństwo złotej bransolety. - Tego, kogo dotknę, odsyłam tam, skąd przybył - dodała.

Lecz ty jesteś niewinny i przybywasz z gwiazdy...

Mały Książę nie odpowiedział.

- Wzbudzasz we mnie litość, taki słaby na granitowej Ziemi... Mogę ci w przyszłości pomóc, gdy bardzo zatęsknisz za twą planetą. Mogę...

- Och, bardzo dobrze zrozumiałem - odpowiedział Mały Książę - ale dlaczego mówisz ciągle zagadkami?

- Rozwiązuję zagadki - rzekła żmija.

I oboje umilkli.

XVIII

Przechodząc przez pustynię, Mały Książę spotkał tylko jeden kwiat ... Kwiat o trzech płatkach, nędzny kwiat ...

- Dzień dobry - powiedział Mały Książę.
- Dzień dobry - odrzekł kwiat.
- Gdzie są ludzie? - grzecznie zapytał Mały Książę.

Kwiat widział kiedyś przechodzącą karawanę.

- Ludzie? Jak sądzę istnieje sześciu czy siedmiu ludzi. Widziałem ich przed laty. Lecz nigdy nie wiadomo, gdzie można ich odnaleźć. Wiatr nimi miota. Nie mają korzeni - to im bardzo przeszkadza.
- Do widzenia - rzekł Mały Książę.
- Do widzenia - odpowiedział kwiat.

XIX

Mały Książę wspiał się an wysoką górę. Jedynymi górami, które dotychczas znał, były sięgające mu kolan wulkany. Wygasły wulkan służył mu jako krzeselko.

"Z tak wysokiej góry jak ta - powiedział sobie - zobaczę od razy całą planetę i wszystkich ludzi..."

Lecz nie zobaczył nic poza ostrymi skałami.

- Dzień dobry - powiedział na wszelki wypadek.

- Dzień dobry... Dzień dobry... Dzień dobry - odpowiedziało echo.

- Kim jesteście? - spytał Mały Książę.

- Kim jesteście... Kim jesteście... Kim jesteście... - powtórzyło echo.

- Bądźcie mymi przyjaciółmi, jestem samotny - powiedział.

- Jestem samotny... jestem samotny... jestem samotny... - odpowiedziało echo.

"Jakaż to zabawna planeta - pomyślał Mały Książę. - zupełnie sucha, spiczasta i słona, a ludziom brak fantazji. Powtarzają to, co im się mówi... Na mojej gwiazdce miałem różę: ona zawsze mówiła pierwsza..."

XX

W końcu jednak zdarzyło się, że po długiej wędrówce poprzez piaski, skały i śniegi Mały Książę odkrył drogę. A drogi prowadzą zawsze do ludzi.

- Dzień dobry - powiedział.

Był w ogrodzie pełnym róż.

- Dzień dobry - odpowiedziały róże.

Mały Książę przyjrzał się im. Bardzo były podobne do jego róży.

- Kim jesteście? - zapytał zdziwiony.

- Jesteśmy różami - odparły róże.

- Ach... - westchnął Mały Książę.

I poczuł się bardzo nieszczęśliwy. Jego róża zapewniała go, że jest jedyna na świecie. A oto tu, w jednym ogrodzie, jest pięć tysięcy podobnych!

"Byłaby bardzo zdenerwowana... - pomyślał - kaszłałaby straszliwie i udawałaby umierającą, aby pokryć zmieszanie. A ja musiałbym udawać, że ją pielęgnuję, bo w przeciwnym razie umarłaby rzeczywiście, aby mnie tym upokorzyć..."

Później mówił sobie dalej: "Sądziłem, że posiadam jedyny na świecie kwiat, a w rzeczywistości mam zwykłą różę, jak wiele innych. Posiadanie róży i trzech wulkanów sięgających mi do kolan, z których jeden prawdopodobnie wygasł na zawsze, nie czyni ze mnie potężnego księcia..." I zapłakał, leżąc na trawie.

XXI

Wtedy pojawił się lis.

- Dzień dobry - powiedział lis.

- Dzień dobry - odpowiedział grzecznie Mały Książę i obejrzał się, ale nic nie dostrzegł.

- Jestem tutaj - posłyszał głos - pod jabłonią!

- Ktoś ty? - spytał Mały Książę. - Jesteś bardzo ładny...

- Jestem lisem - odpowiedział lis.

- Chodź pobawić się ze mną - zaproponował Mały Książę. - Jestem taki smutny...

- Nie mogę bawić się z tobą - odparł lis. - Nie jestem oswojony.

- Ach, przepraszam - powiedział Mały Książę. Lecz po namyśle dorzucił: - Co znaczy

"oswojony"?

- Nie jesteś tutejszy - powiedział lis. - Czego szukasz?

- Szukam ludzi - odpowiedział Mały Książę. - Co znaczy "oswojony"?

- Ludzie mają strzelby i polują - powiedział lis. - To bardzo kłopotliwe. Hodują także kury, i to jest interesujące. Poszukujesz kur?

- Nie - odrzekł Mały Książę. - Szukam przyjaciół. Co znaczy "oswoić"?

- Jest to pojęcie zupełnie zapomniane - powiedział lis. - "Oswoić" znaczy "stworzyć więzy".

- Stworzyć więzy?

- Oczywiście - powiedział lis. - Teraz jesteś dla mnie tylko małym chłopcem, podobnym do stu tysięcy małych chłopców. Nie potrzebuję ciebie. I ty mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz jeżeli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebować. Będiesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Mały Książę. - Jest jedna róża... zdaje mi się, że ona mnie oswoiła...

- To możliwe - odrzekł lis. - Na Ziemi zdarzają się różne rzeczy...

- Och, to nie zdarzyło się na Ziemi - powiedział Mały Książę.

Lis zaciekawiał się:

- Na innej planecie?

- Tak.

- A czy na tej planecie są myśliwi?

- Nie.

- To wspaniałe! A kury?

- Nie.

- Nie ma rzeczy doskonałych - westchnął lis i zaraz powrócił do swej myśli: - Życie jest jednostajne. Ja poluję na kury, ludzie polują na mnie. Wszystkie kury są do siebie podobne i wszyscy ludzie są do siebie podobni. To mnie trochę nudzi. Lecz jeśli byś mnie oswoił, moje życie nabrałoby blasku. Z daleka będę rozpoznawał twoje kroki - tak różne od innych. Na dźwięk cudzych kroków chowam się pod ziemię. Twoje kroki wywabiają mnie z jamy jak dźwięki muzyki. Spójrz! Widzisz tam łany zboża? Nie jem chleba. Dla mnie zboże jest nieużyteczne. Łany zboża nic mi nie mówią. To smutne! Lecz ty masz złociste włosy. Jeśli mnie oswoisz, to będzie cudownie. Zboże, które jest złociste, będzie mi przypominało ciebie.

I będę kochać szum wiatru w zbożu...

Lis zamilkł i długo przypatrywał się Małemu Księżu.

- Proszę cię... oswoj mnie - powiedział.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Mały Książę - lecz nie mam dużo czasu. Muszę znaleźć przyjaciół i nauczyć się wielu rzeczy.

- Poznaje się tylko to, co się oswoi - powiedział lis. - Ludzie mają zbyt mało czasu, aby cokolwiek poznać. Kupują w sklepach rzeczy gotowe. A ponieważ nie ma magazynów z przyjaciółmi, więc ludzie nie mają przyjaciół. Jeśli chcesz mieć przyjaciela, oswoj mnie!

- A jak się to robi? - spytał Mały Książę.

- Trzeba być bardzo cierpliwym. Na początku siądziesz w pewnej odległości ode mnie, ot tak, na trawie. Będę spoglądać na ciebie kątem oka, a ty nic nie powiesz. Mowa jest źródłem nieporozumień. Lecz każdego dnia będziesz mógł siadać trochę bliżej...

Następnego dnia Mały Książę przyszedł na oznaczone miejsce.

- Lepiej jest przychodzić o tej samej godzinie. Gdy będziesz miał przyjść na przykład o czwartej po południu, już od trzeciej zacznę odczuwać radość. Im bardziej czas będzie posuwać się naprzód, tym będę szczęśliwszy. O czwartej będę podniecony i zaniepokojony: poznam cenę szczęścia! A jeśli

przyjdiesz nieoczekiwanie, nie będę mógł się przygotowywać... Potrzebny jest obrządek.

- Co znaczy "obrządek"? - spytał Mały Książę.

- To także coś całkiem zapomnianego - odpowiedział lis. - Dzięki obrządkowi pewien dzień odróżnia się od innych, pewna godzina od innych godzin. Moi myśliwi, na przykład, mają swój rytuał. W czwartek tańczą z wioskowymi dziewczętami. Stąd czwartek jest cudownym dniem! Podchodzę aż pod winnice. Gdyby myśliwi nie mieli tego zwyczaju w oznaczonym czasie, wszystkie dni byłyby do siebie podobne, a ja nie miałbym wakacji.

W ten sposób Mały Książę oswoił lisa. A gdy godzina rozstania była bliska, lis powiedział:

- Ach, będę płakać!

- To twoja wina - odpowiedział Mały Książę - nie życzyłem ci nic złego. Sam chciałeś, abym cię oswoił...

- Oczywiście - odparł lis.

- Ale będziesz płakać?

- Oczywiście.

- A więc nic nie zyskałeś na oswojeniu?

- Zyskałem coś ze względu na kolor zboża - powiedział lis, a później dorzucił: - Idź jeszcze raz zobaczyć róże. Zrozumiesz wtedy, że twoja róża jest jedyna na świecie. Gdy przyjdiesz pożegnać się ze mną, zrobię ci prezent z pewnej tajemnicy.

Mały Książę poszedł zobaczyć się z różami.

- Nie jesteście podobne do mojej róży, nie macie jeszcze żadnej wartości - powiedział różom.

Nikt was nie oswoił i wy nie owoiłyście nikogo. Jesteście takie, jakim był dawniej lis. Był

zwykłym lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz zrobiłem go swoim przyjacielem i teraz jest dla mnie jedyny na świecie.

Róże bardzo się zawstydzily.

- Jesteście piękne, lecz próżne - powiedział im jeszcze. - Nie można dla was poświęcić życia.

Oczywiście moja róża wydawałaby się zwykłemu przechodniowi podobna do was. Lecz dla mnie ona jedna ma większe znaczenie niż wy wszystkie razem, ponieważ ją właśnie podlewałem. Ponieważ ją przykrywałem kloszem. Ponieważ ją właśnie osłaniałem. Ponieważ właśnie dla jej bezpieczeństwa zabijałem gąsienice (z wyjątkiem dwóch czy trzech, z których chciałem mieć motyle). Ponieważ słuchałem jej skarg, jej wychwałania się, a czasem jej milczenia. Ponieważ... jest moją różą.

Powrócił do lisa.

- Żegnaj - powiedział.

- Żegnaj - odpowiedział lis. - A oto mój sekret. Jest bardzo prosty: dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.

- Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu - powtórzył Mały Książę, aby zapamiętać.

- Twoja róża ma dla ciebie tak wielkie znaczenie, ponieważ poświęciłeś jej wiele czasu.

- Ponieważ poświęciłem jej wiele czasu... - powtórzył Mały Książę, aby zapamiętać.

- Ludzie zapomnieli o tej prawdzie - rzekł lis. - Lecz tobie nie wolno zapomnieć. Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę.

- Jestem odpowiedzialny za moją różę... - powtórzył Mały Książę, aby zapamiętać.

XXII

- Dzień dobry - powiedział Mały Książę.
- Dzień dobry - powiedział Zwrotniczy.
- Co ty tu robisz? - spytał Mały Książę.
- Sortuję podróżnych na paczki po tysiąc sztuk - odpowiedział Zwrotniczy. - Wysyłam w lewo i w prawo pociągi, które ich unoszą.

Oświetlony pociąg pospieszny, hucząc jak grzmot, zatrzęsł domkiem Zwrotniczego.

- Bardzo się spieszę - powiedział Mały Książę. - Czego oni szukają?
- Nawet człowiek prowadzący parowóz tego nie wie - odparł Zwrotniczy.

I znowu zagrzemiał oświetlony ekspres, pędzący w przeciwnym kierunku.

- Już wracają? - spytał Mały Książę.
- To nie ci sami - odpowiedział Zwrotniczy. - To wymiana.
- Czy było im źle tam, gdzie byli przedtem?
- Zawsze się wydaje, że w innym miejscu będzie lepiej - powiedział Zwrotniczy.

Znowu rozległ się grzmot trzeciego oświetlonego ekspresu.

- Czy oni ścigają poprzednich podróżnych? - zapytał Mały Książę.
- Nie nikogo nie ścigają - odparł Zwrotniczy. - Śpią w wagonach lub ziewają. Jedyne dzieci przyciskają noski do okien.
- Jedyne dzieci wiedzą, czego szukają - rzekł Mały Książę. - Poświęcają czas lalce z gałganków, która nabiera dla nich wielkiego znaczenia, i płaczą, gdy się im ją odbierze.
- Szczęśliwe - powiedział Zwrotniczy.

XXIII

- Dzień dobry - rzekł Mały Książę.

- Dzień dobry - odparł Kupiec.

Kupiec ten sprzedawał udoskonalone pigułki zaspokajające pragnienie. Połknięcie jednej na tydzień wystarcza, aby nie chciało się pić.

- Po co to sprzedajesz? - spytał Mały Książę.

- To wielka oszczędność czasu - odpowiedział Kupiec. - Zostało to obliczone przez specjalistów. Tygodniowo oszczędza się pięćdziesiąt trzy minuty.

- A co się robi z pięćdziesięcioma trzema minutami?

- To, co się chce...

"Gdybym miał pięćdziesiąt trzy minuty czasu - powiedział sobie Mały Książę - poszedłbym powolutku w kierunku studni..."

XXIV

Było to ósmego dnia na pustyni, licząc od zepsucia się motoru. Wysłuchałem opowiadania o Kupcu, pijąc ostatnie krople zapasu wody.

- Twoje wspomnienia są bardzo ładne - powiedziałem Małemu Księżciu - lecz nie naprawiłem jeszcze samolotu, nie mam nic do picia... I ja także byłbym szczęśliwy bardzo, gdybym mógł

powoli udać się w kierunku studni.

- Mój przyjaciel lis powiedział...

- Mój maleńki, nie chodzi już o lisa...

- Dlaczego?

- Ponieważ umrzemy z pragnienia...

Nie zrozumiał mej myśli i powiedział:

- Nawet w obliczu śmierci przyjemna jest świadomość posiadania przyjaciela. Bardzo się cieszę, że miałem przyjaciela-lisa.

"Nie docenia niebezpieczeństwa - pomyślałem. - Nigdy nie odczuwa głodu ani pragnienia. Wystarczy mu trochę słońca."

Popatrzył na mnie i odpowiedział na moją myśl.

- Mnie także chce się pić... Poszukajmy studni...

Zrobiłem gest zniechęcenia: szukanie studni na olbrzymiej pustyni jest absurdem. Mimo to udaliśmy się w drogę. Gdyśmy tak szli godzinami, milcząc, noc zapadła i gwiazdy zabłyśły. Widziałem je jakby we śnie - miałem gorączkę z pragnienia. Słowa Małego Księcia tańczyły mi w pamięci.

- Więc ty także odczuwasz pragnienie? - spytałem go.

Nie odpowiedział mi na pytanie. Po prostu rzekł"

- Woda może także przynieść korzyść sercu...

Nie zrozumiałem odpowiedzi, lecz mimo to zamilkłem. Wiedziałem dobrze, że nie należy zadawać mu pytań. Był zmęczony. Usiadł. Usiadłem obok niego. Po chwili milczenia powiedział jeszcze:

- Gwiazdy są piękne, ponieważ na jednej z nich istnieje kwiat, którego nie widać...

Odpowiedziałem: - Oczywiście - i w milczeniu patrzyłem na wydmy piasku w poświacie księżyca.

- Pustynia jest piękna - dorzucił.

To prawda. Zawsze kochałem pustynię. Można usiąść na wydmie. Nic nie widać. Nic nie słyhać. Ale mimo to coś promieniuje w ciszy...

- Pustynię upiększa to - powiedział Mały Książę - że gdzieś w sobie kryje studnię...

Nagle ze zdziwieniem zrozumiałem to tajemnicze promieniowanie piasku. Gdy byłem małym chłopcem, mieszkałem w starym domu, do którego przywiązana była legenda o ukrytym skarbie. Oczywiście nikt skarbu nie znalazł, a może nawet nie szukał go. Lecz on rzucał czar na dom. Mój dom ukrywał w sobie tajemnicę...

- Tak - powiedziałem Małemu Księżciu - to, co upiększa dom czy gwiazdy, czy pustynie jest niewidzialne.

- Jestem zadowolony - powiedział - że zgadzasz się z moim lisem.

Ponieważ Mały Książę był senny, wziąłem go na ręce i poszedłem dalej. Byłem wzruszony. Wydawało mi się, że niosę kruchy skarb. Wydawało mi się nawet, że na Ziemi nie istnieje nic bardziej nietrwałego. W świetle księżycy patrzyłem na blade czoło, na zamknięte oczy, na pukle włosów poruszane wiatrem i mówiłem sobie, że to, co widzę, jest tylko zewnętrzną powłoką. Najważniejsze jest niewidoczne.

Ponieważ półotwarte wargi uśmiechały się leciutko, powiedziałem sobie jeszcze: "To, co mnie wzrusza najmocniej w tym małym śpiącym królewiczu, to jego wierność dla kwiatu, to obraz róży, który świeci w nim jak płomień lampy nawet podczas snu". I wydał mi się jeszcze bardziej kruchy. Byłe podmuch wiatru może zgasić lampę - trzeba dobrze uważać. I tak idąc, o świcie odnalazłem studnię.

- Ludzie tłoczą się w pociągach - powiedział Mały Książę - nie wiedząc, czego szukają.

Dlatego są podnieceni i kręcą się w kółko... - A potem dorzucił: - Nie warto...

Studnia, którą znaleźliśmy, nie przypominała zupełnie studni saharyjskich. Studnie saharyjskie są po prostu dziurami wykopanymi w piasku. Ta natomiast przypominała wiejską studnię. Lecz nigdzie nie było wioski. Zdawało mi się, że śnię.

- To zadziwiające - powiedziałem do Małego Księcia - wszystko jest przygotowane: blok, lina i wiadro...

Zaśmiał się, chwycił linę, puścił blok w ruch. Blok jęknął, zazgrzytał jak stara chorągiewka na dachu po długotrwałym bezruchu.

- Słuchaj, obudziliśmy studnię i ona śpiewa...

Nie chciałem, aby się męczył.

- Pozwól mi, to za ciężkie dla ciebie.

Powoli wyciągałem wiadro aż do cembrowiny, Postawiłem je równo. W uszach dźwięczał mi śpiew bloku, a w falującej jeszcze wodzie widziałem drgające słońce.

- Chcę napić się tej wody - powiedział Mały Książę - daj mi...

Zrozumiałem już, czego szukał.

Podniosłem wiadro do jego warg. Pił, mając oczy zamknięte. To było tak piękne jak święto. To było czymś więcej niż pożywieniem. Ta woda zrodzona była z marszu pod gwiazdami, ze śpiewu bloku, z wysiłku mych ramion. Sprawiała radość sercu - jak podarek.

Świeczki na choince, muzyka na Pasterce oraz słodkie uśmiechy opromieniały prezenty, jakie otrzymywałem na Boże Narodzenie, gdy byłem małym chłopcem.

- Ludzie z twojej planety - powiedział Mały Książę - hodują pięć tysięcy róż w jednym ogrodzie... i nie znajdują w nich tego, czego szukają...

- Nie znajdują - odpowiedziałem.

- A tymczasem to, czego szukają, może być ukryte w jednej róży lub w odrobinie wody...

- Oczywiście - odpowiedziałem.

Mały Książę dorzucił:

- Lecz oczy są ślepe. Szukać należy sercem.

Napiłem się. Oddychałem głęboko. O wschodzie słońca piasek jest koloru miadu.

Cieszyłem się tym kolorem miodu. I jak mogłem przypuszczać, że oczekiwało mnie cierpienie...

- Powinieneś dotrzymać obietnicy - powiedział cichutko Mały Książę.

Siedliśmy znów razem.

- Jakiej obietnicy?

- Widzisz... kaganiec dla baranka... Jestem odpowiedzialny za mój kwiat!

Wyciągnąłem z kieszeni moje szkice. Mały Książę zauważył je i śmiejąc się powiedział:

- Twoje baobaby przypominają trochę główki kapusty...

- Och!

Byłem tak dumny z tych baobabów.

- Twój lis... z takimi uszami, które przypominają rogi... Są za długie!

I śmiał się dalej.

- Jesteś niesprawiedliwy, mały przyjacielu, mówiłem, że poza węzem boa, zamkniętym i otwartym, nigdy nie umiałem nic rysować.

- Och, twoje rysunki nie są takie złe - pocieszał - dzieci poznają się na nich.

Narysowałem kaganiec. Ścisnęło mi się serce, kiedy mu go pokazywałem.

- Masz plany, których nie znam...

Nie odpowiedział mi na pytanie.

- Wiesz... mój przyjazd na Ziemię... jutro jest rocznica... - powiedział i po chwili milczenia dodał: - Spadłem niedaleko stąd...

I poczerwieniał.

Znowu z niewiadomych przyczyn zrobiło mi się dziwnie smutno. Postanowiłem go o coś zapytać.

Więc to nie przez przypadek przechadzałeś się tutaj samotnie, o tysiąc mil od zamieszkałych terenów, kiedy poznałem cię osiem dni temu? Powróciłem na miejsce, na które spadłeś?

Mały Książę poczerwieniał jeszcze bardziej.

Wahając się dorzuciłem:

- A może z powodu rocznicy?

Mały Książę znowu zaczerwienił się. Nigdy nie odpowiadał na pytania, ale kiedy się ktoś rumieni, to jakby mówił "tak", prawda?

- Wiesz - powiedziałem mu - boję się...

Tym razem odpowiedział mi:

- Musisz teraz pracować. Musisz iść do twojej maszyny. Będę tu czekał na ciebie. Wróc jutro wieczorem...

Nie uspokoiło mnie to. Przypomniała mi się historia lisa. Decyzja oswojenia niesie w sobie ryzyko łez.

XXVI

Obok studni znajdowały się ruiny starego kamiennego muru. Gdy wracałem następnego wieczora od pracy, z daleka zauważyłem Małego Księcia siedzącego na murze, ze zwieszonymi nogami. Słyszałem jak mówił:

- Więc nic sobie nie przypominasz?... Miejsce niezupełnie się zgadza...

Ktoś mu na pewno odpowiadał, ponieważ znów posłyszałem jego głos:

- Ależ na pewno! Data się zgadza, lecz miejsce nie...

Zbliżałem się do muru. Przyspieszyłem kroku. Ciągle jeszcze nikogo nie widziałem ani nic nie słyszałem. Tylko Mały Książę znowu komuś odpowiadał:

- Oczywiście. Zobaczysz, gdzie zaczyna się mój ślad na piasku. Poczekasz tam na mnie. Będę tej nocy.

Byłem o dwadzieścia metrów od muru, jednakże w dalszym ciągu nic nie widziałem. Po chwili ciszy Mały Książę dorzucił:

- Czy masz dobry jad? Czy jesteś pewna, że nie będę długo cierpieć?

Zatrzymałem się ze ściśniętym sercem, lecz ciągle jeszcze nic nie rozumiałem.

- Teraz idź sobie - powiedział - chcę zejść!

Spuściłem wzrok do podnóża muru i aż podskoczyłem. W kierunku Małego Księcia wyciągała się jedna z tych żółtych żmij, których jad zabija w ciągu trzydziestu sekund.

Podbiegłem, szukając rewolweru w kieszeni, lecz na odgłos mych kroków żmija wolno osunęła się na piasek i nie spiesząc, jak zamierający strumień wody, z metalicznym chrzęstem wśliznęła się między kamienie. Dосkoczyłem do muru i chwyciłem w ramiona Małego Księcia, bladego jak śnieg.

- Cóż to za historia? Rozmawiasz teraz ze żmijami?

Zdjąłem z jego szyi złoty szalik. Zwilżyłem mu skronie i napiłem go. Nie śmiałem go o nic pytać. Popatrzył na mnie z powagą i objął mnie ramionami. Czuję bicie jego serca, tętniącego podobnie jak serce zranionego ptaka. Powiedział:

- Jestem zadowolony, że udało ci się naprawić samolot. Będziesz mógł powrócić do siebie.

- Skąd wiesz?

Właśnie miałem zamiar mu powiedzieć, że mimo wszystko udało mi się naprawić motor. Nie odpowiedział na moje pytanie, lecz rzekł:

- Ja także dzisiaj wracam do siebie... - A po chwili, pełen smutku, ciągnął: - To znacznie dalej... i znacznie trudniej...

Czułem, że dzieje się coś niezwykłego. Ścisnąłem go mocno w ramionach, lecz mimo to wydawało mi się, że zsuwa się pionowo w przepaść, z której nie będę mógł go wyciągnąć...

Wzrok miał poważny, zagubiony w dali.

- Mam twojego baranka. I mam skrzynkę dla niego... I mam kaganiec...

Uśmiechnął się smutno. Długo czekałem. Wyczuwałem, że powoli ożywia się.

- Mały przyjacielu, bałeś się...

Bał się, na pewno. Zaśmiał się cichutko:

- Dzisiejszego wieczoru będę się bał znacznie bardziej...

I znowu zmroziło mnie przecucie czegoś nieodwołalnego. Nie słyszeć więcej jego śmiechu - ta myśl mnie zadręczała. Ten śmiech był dla mnie jak studnia na pustyni.

- Mały przyjacielu, chcę usłyszeć twój śmiech...

Odpowiedział:

- Tej nocy mija rok. Moja gwiazda znajdzie się dokładnie nad miejscem, gdzie spadłem rok temu...

- Mały przyjacielu, prawda, to był tylko zły sen o żmii, o spotkaniu i o gwiazdzie...

Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Tego, co najważniejsze, okiem zobaczyć nie można...

- Oczywiście.

- To samo jest z kwiatem. Jeśli kochasz kwiat, który znajduje się na jednej z gwiazd, jakże przyjemnie jest patrzeć w niebo. Wszystkie gwiazdy są ukwiecone...

- Oczywiście...

- To samo z wodą. Ta, której dałeś mi się napić, była jak muzyka. Z powodu bloku i liny...

Przypominasz sobie... była tak dobra...

- Oczywiście.

- Nocą będziesz oglądać gwiazdy. Moja jest zbyt mała, abym mógł pokazać ci, gdzie jest. To lepiej. Moja gwiazda będzie dla ciebie jedną spośród wielu gwiazd... Dlatego przyjemnie ci będzie patrzeć

na gwiazdy. Każda z nich będzie twoim przyjacielem. Chcę ci zrobić prezent.

Zaśmiał się znowu.

- Mały przyjacielu! Mały przyjacielu, twój śmiech sprawia mi tyle radości!

- To właśnie będzie mój prezent... W zamian za wodę...

- Nie rozumiem...

- Gwiazdy dla ludzi mają różne znaczenie. Dla tych, którzy podróżują, są drogowskazami.

Dla innych są tylko małymi światełkami. Dla uczonych są zagadnieniami. Dla mego Bankiera są złotem. Lecz wszystkie te gwiazdy milczą. Ty będziesz miał takie gwiazdy, jakich nie ma nikt.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdy popatrzysz nocą w niebo, wszystkie gwiazdy będą się śmiały do ciebie, ponieważ ja będę mieszkał i śmiał się na jednej z nich. Twoje gwiazdy będą się śmiały.

I zaśmiał się znowu.

- A gdy się pocieszysz (zawsze się w końcu pocieszamy), będziesz zadowolony z tego, że mnie znałeś. Będziesz zawsze moim przyjacielem. Będziesz miał ochotę śmiać się ze mną.

Będziesz od czasu do czasu otwierał okno - ot, tak sobie, dla przyjemności. Twoich przyjaciół

zdziwi to, że śmiejesz się, patrząc na gwiazdy. Wtedy im powiesz: "Gwiazdy zawsze pobudzają mnie do śmiechu". Pomyślą, że zwariowałeś. Zrobiłem ci brzydki figiel.

I znowu się zaśmiał.

- Ta tak, jakbym ci dał zamiast gwiazd mnóstwo małych dzwoneczków, które potrafią się śmiać.

Śmiał się ciągle. Po chwili spowaźniał.

- Tej nocy... wiesz... nie przychodź...

- Nie opuszczę cię.

- Będę robił wrażenie cierpiącego... będę wyglądał tak, jakbym umierał. O, tak! Nie przychodź patrzeć na to, nie warto.

- Nie opuszczę cię.

Zaniepokoił się.

- Mówię ci to także... z powodu żmii. Nie chcę, żeby cię ukąsiła. Żmije są złośliwe. Mogą ugryźć dla

przyjemności.

- Nie opuszczę cię.

Jakaś myśl uspokoiła go.

- Co prawda zmija nie ma dostatecznej ilości trucizny, aby ugryźć drugi raz...

Tej nocy nie zauważyłem, kiedy wyruszył w drogę. Wymknął się bezszelestnie. Gdy udało mi się go dogonić, szedł zdecydowanym krokiem. Powiedział mi tylko:

- Ach, jesteś tu...

Wziął mnie za rękę. Jeszcze się niepokoił:

- Nie masz racji. Będzie ci przykro. Będę robić wrażenie umarłego, a to nie będzie prawda.

Milczałem.

- Rozumiesz. To bardzo daleko. Nie mogę zabrać ze sobą tego ciała. Jest za ciężkie.

Milczałem.

- To będzie jak stara, porzucona łupina.

W starych łupinach nie ma nic strasznego.

Milczałem.

Powoli się zniechęcał. Lecz zrobił jeszcze wysiłek:

- To będzie ładnie. Ja też będę patrzeć na gwiazdy. Wszystkie gwiazdy będą studniami z zardzewiałym blokiem, Wszystkie gwiazdy dadzą mi pić.

Milczałem.

- To będzie takie zabawne. Ty będziesz miał pięćset milionów dzwoneczków, a ja pięćset milionów studni...

I nagle urwał, ponieważ się rozplakał...

- To tu. Pójdę sam jeden krok naprzód.

Usiadł jednak, ponieważ bał się. Powiedział jeszcze:

- Wiesz... moja róża... jestem za nią odpowiedzialny. A ona jest taka słaba. I taka naiwna. Ma cztery nic niewarte kolce dla obrony przed całym światem.

Usiadłem, nie mogłem utrzymać się na nogach.

- Tak... to wszystko... - powiedział.

Wahał się jeszcze chwilę, później wstał. Zrobił krok. Nie mogłem się poruszyć.

Żółta błyskawica mignęła koło jego nogi. Chwilę stał nieruchomo. Nie krzyczał. Osunął się powoli, jak pada drzewo. Piasek stłumił nawet odgłos upadku.

XXVII

A dzisiaj minęło już sześć lat. Nigdy jeszcze nie opowiadałem tej historii. Moi koledzy cieszyli się bardzo z mego powrotu. Byłem smutny, lecz mówiłem im: - To zmęczenie...

Teraz trochę się pocieszyłem. To znaczy... jeszcze niezupełnie. Lecz wiem na pewno, że wrócił na swoją planetę, ponieważ o wschodzie słońca nie znalazłem jego ciała. Nie było ciężkie to ciało... I bardzo lubię słuchać nocą gwiazd. To tak jakby pięćset milionów dzwoneczków...

Ale zdarzyła się rzecz dziwna... Zapomniałem dorobić rzemień do kagańca, który narysowałem Małemu Księżciu. Nie będzie mógł go nałożyć barankowi. Pytam nieraz siebie, co dzieje się na jego planecie? Możliwe, że baranek zjadł różę...

Czasem mówię sobie, że na pewno nic się nie stało. Mały Księżę przykrywa różę na noc szklanym kloszem i dobrze strzeże baranka... Wtedy jestem szczęśliwy. I wszystkie gwiazdy śmieją się pogodnie. A czasem mówię sobie: "Od czasu do czasu zapomina się o obowiązkach - i to już wystarczy. Zapomniał wieczorem zakryć różę szklanym kloszem albo baranek cicho wyszedł ze skrzyni w nocy..." I wtedy gwiazdy toną we łzach...

Tu kryje się wielka tajemnica. Dla was, którzy jak ja kochacie Małego Księcia, nie ma w świecie poważniejszego zagadnienia niż to, czy gdzieś - nie wiadomo gdzie - baranek, którego nie znacie, zjadł różę czy nie...

Popatrzcie w niebo. Zapytajcie: "Czy baranek zjadł różę? Tak czy nie?" I zobaczycie, jak cały świat zmieni się dla was.

A żaden dorosły nie zrozumie nigdy, jak wielkie to ma znaczenie!

Dla mnie to najpiękniejszy i jednocześnie najsmutniejszy obraz świata. To ten sam obraz, który jest na poprzedniej stronie, lecz narysowałem go jeszcze raz, abyście dobrze zapamiętali to miejsce, w którym zjawiał się na ziemi i znikł Mały Księżę. Przyjrzyjcie się uważnie, abyście mogli rozpoznać ten krajobraz, jeśli któregoś dnia będziecie wędrować przez afrykańską pustynię. A jeśli kiedyś znajdziecie się w tym miejscu, nie spieszcie się, błagam was, zatrzymajcie się na chwilę pod gwiazdą! Jeśli przyjdzie do was śmiejące się dziecko o złotych włosach, nie odpowiadajcie na pytania - zgadnijcie, kto to jest. Nie zostawiajcie mnie wtedy w moim smutku: bądźcie tak mili i napiszcie mi szybko, że wrócił...